

Ulubieńcy

Tylko wielki malarz mógł stworzyć dzieło zdolne naprawdę przerazić. Dzieje się tak dlatego, że tylko prawdziwy artysta zna dokładnie anatomię koszmaru, fizjologię strachu. Jest w stanie dokładnie dobrać linie i proporcje, połączyć je z przetrwałymi instynktami lub odziedziczonym podświadomie tkwiącym w nas przerażeniem i uzyskać właściwy kontrast barw oraz grę światłocienia służące do poruszenia uśpionego poczucia obcości.

Howard Phillips Lovecraft, *Model Pickmana*

1

Wydział sztuki uniwersytetu Miskatonic w Arkham nie należał do zbyt obleganych. Przechadzałem się korytarzem, starając się znaleźć kogoś, kto mógłby mi pomóc. Wszyscy studenci zapewne byli na zajęciach, ponieważ nie widziałem żywej duszy. Postanowiłem poczekać na zakończenie wykładów. Usiadłem na parapecie i wyjrzałem na zewnątrz.

Jesień była chłodna i deszczowa. Ciągle padało, niebo było zachmurzone, słońce pojawiało się w rzadkich przeblyskach. Ziewnąłem i przetarłem oczy, chcąc odgonić senność. Wielogodzinna podróż z Bostonu dawała mi się we znaki.

W końcu drzwi jednej z sal otworzyły się i na korytarz wypłynął tłum studentów. Poczekalem aż podzielą się na mniejsze grupki i podszedłem do dwóch, pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wiecie może, gdzie mógłbym znaleźć profesora Harveya Gardnera?

– Gardner? – Zdziwił się jeden ze studentów. – Chyba nie znam takiego wykładowcy.

– To ten od malarstwa. – Oczy drugiego błysnęły z zainteresowaniem. – Pamiętasz, jego obraz wisiał kiedyś na naszym wydziale. Przedstawiał takie dziwaczne stwory. Chyba z mitologii. Jakaś dziewczyna zemdląła na jego widok.

– Ach, teraz pamiętam. Ma swoją pracownię za budynkiem biblioteki.

– Obawiam się, że nie wiem, gdzie to jest – odparłem z zakłopotaniem. – Nie jestem studentem uniwersytetu.

– Akurat idę do biblioteki. Mam kilka książek do oddania. Mogę cię zaprowadzić. – Młodszy ze studentów uśmiechnął się i wyciągnął rękę. – Herbert West.

– Richard Upton Pickman. – Przedstawiłem się i uściśniłem jego dłoń.

2

Podczas krótkiego spaceru uciałem sobie pogawędkę z Herbertem. Był studentem medycyny, pragnął zostać lekarzem, a także posiadał dość osobliwe poglądy na temat postrzegania życia.

– A co, jeśli ciało jest jak mechanizm – tłumaczył mi kaznodziejskim głosem. – który można ponownie wprowadzić w ruch?

Chłopak wydał mi się dziwny, więc ucieszyłem się kiedy pokazał mi niewielki budynek, tuż obok olbrzymiego gmachu biblioteki.

– Tam powinieneś znaleźć profesora Gardnera – powiedział, wyciągając do mnie rękę na pożegnanie. – Miło się rozmawiało, może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Podziękowałem za pomoc i przez chwilę obserwowałem Herberta, jak oddala się w kierunku biblioteki. Jego poglądy, choć osobliwe i ekscentryczne, wydały mi się ciekawe. Postanowiłem poruszyć ten niecodzienny temat z ojcem po powrocie do Bostonu. Zawsze lubiliśmy pogawędzić o podobnych sprawach przy szklaneczce whiskey.

Przez chwilę zapatrzyłem się na górujący nad okolicą gmach. Biblioteka uniwersytetu Miskatonic posiadała jeden z najbogatszych księgozbiorów w tej części Stanów. A kto wie, czy nie największy na świecie. Ponoć mają tu również swój egzemplarz *Necronomiconu*, podobny do tego, który przechowywany był przez moją rodzinę.

Znowu zaczęło padać, więc przyspieszyłem kroku, aby czym prędzej znaleźć się pod dachem. Budynek, w którym rezydował profesor Gardner był parterowy, o kilku łukowatych oknach, które mimo stosunkowo wczesnej pory zostały szczelnie zasunięte.

Podbiegłem do drzwi i zapukałem, jednak nikt się nie odezwał. Poczekalem chwilę, mając nadzieję, że profesor w końcu usłyszy, że się dobijam. Ulewa się wzmagala, więc nacisnąłem na klamkę. Drzwi otworzyły się z metalicznym skrzypnięciem.

W środku panował zaduch dawno niewietrzonego pomieszczenia pomieszany ze specyficzną, ostrą wonią farb. Korytarz do którego wszedłem, był ciemny, a jedyne światło docierało z pokoju obok.

– Halo! – zawołałem. – Profesorze Gardner?

Nikt nie odpowiedział.

Przez moment się zawahałem, pomyślałem, że może profesora jednak nie ma w budynku. Zdawało mi się jednak, że słyszę jakiś przytłumiony głos. Ruszyłem więc dalej, w stronę pomieszczenia, gdzie znajdowało się źródło światła.

– Profesorze Gardner? – zawołałem ponownie. – Jest pan tu?

Usłyszałem hałas, jakby coś się przewróciło. Ostrożnie podszedłem bliżej i zajrzałem do wnętrza pomieszczenia.

Wypełnione było płótnami, w większości czystymi lub niedokończonymi. Tylko kilka z nich wyglądało na gotowe obrazy. Nie miałem czasu przyjrzeć się, co przedstawiają, gdyż dojrzałem starszego mężczyznę, który właśnie schylał się po przewróconą sztalugę.

– Profesor Gardner? – spytałem, stając w wejściu, choć wiedziałem, że to musiał być on.

Mężczyzna spojrział w moim kierunku i śmiesznie zmarszczył siwe brwi. Jego bystre oczy szybko mnie zlustrowały. Profesor podniósł sztalugę, wyprostował się i wytarł dłonie w poplamiony farbami fartuch. Rzuciłem okiem na obraz, którym właśnie zajmował się wykładowca. Przedstawiał niedokończone jeszcze, ociekające wodą miasto z zielonego kamienia, a pośród jego murów krążyły humanoidalne kształty. Nie zdążyłem dokładnie przyjrzeć się malunkowi, gdyż mężczyzna zarzucił na niego płachtę, wyraźnie nie chcąc dzielić się swoją pracą z nachodzącym go intruzem.

– Tak – odpowiedział, wyciągając okulary z kieszeni. Założył je i przyjrzał mi się baczniej. – Jestem profesor Gardner. W czym mogę pomóc, młody człowieku? Jeśli chcesz poprawiać ocenę lub zaliczać przedmiot, to nie jest odpowiednie miejsce i czas.

– Nie jestem studentem. – Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem.

– W takim razie, co tu robisz? – Mężczyzna był wyraźnie zdziwiony.

– Przyjechałem z Bostonu. W jednej z tamtejszych galerii widziałem obraz *Legowisko*. Przyznam, że bardzo zafascynował mnie pański styl, tym bardziej że moja rodzina szczeni się malarskimi tradycjami.

– Jak pan się nazywa?

– Richard Upton Pickman. Sam również maluję, można powiedzieć, że inspiruję się pańską twórczością. Dlatego przyjechałem. Pokazać swoje prace. – Sięgnąłem do torby, w której miałem kilka szkiców. – Zasięgnąć rady i porozmawiać o sztuce.

Wiadomość ta wyraźnie ucieszyła mojego rozmówcę. Profesor Gardner uśmiechnął się i uścisnął mi dłoń w powitalnym geście.

– Miło słyszeć, że młodzież interesuje się moimi pracami. Patrząc na niektórych studentów, można powiedzieć, że poszanowanie dla sztuki powoli wymiera. Z chęcią podyskutuję z tobą, młody człowieku. Jednak nie w tej chwili. Niedługo muszę wracać na zajęcia. Odwiedź mnie jutro po południu w moim domu przy Sentinel Street dwadzieścia siedem.

3

Na czas mojego pobytu w Arkham wynająłem niewielki pokój w pensjonacie położonym niedaleko dworca. Była to klitka położona na drugim piętrze wiekowej kamienicy. Ledwo mieściła łóżko, niedużą szafkę na ubrania i stolik. Nie miałem ze sobą zbyt wiele bagażu, więc taka przestrzeń wystarczała mi w zupełności.

Po powrocie z uniwersytetu zjadłem szybki posiłek w dworcowej restauracji i wróciłem na stację, aby trochę odpocząć i przygotować się do jutrzejszego spotkania.

Przy mdłym świetle lampy naftowej przeglądałem swoje szkice. Wybrałem kilka, które moim zdaniem były najlepsze i starannie włożyłem w teczkę, aby jutro zaprezentować je profesorowi. Wyjąłem również czysty pergamin i zaostrzyłem ołówek, mając ochotę trochę porysować. Jednak żaden pomysł nie przychodził mi do głowy, zmęczenie również dawało się we znaki.

Ziewnąłem i postanowiłem się położyć. Założyłem piżamę, zasłoniłem okno, zgasilem lampkę i wszedłem do łóżka.

Nawet nie wiem, w którym momencie zasnąłem.

4

Obudziłem się zlany potem.

Wspomnienie koszmaru, który mi się przyśnił, rozwiało się z chwilą, kiedy otworzyłem oczy. Pamiętałem jedynie mglistą, zamazaną wizję miasta z obrazu profesora Gardnera, wyłaniającego się z wodnych odmętów, pełnego posągów przedstawiających monstrualne, nieznane mi z nazwy istoty.

Wzdrygnąłem się, przypominając sobie przerażenie towarzyszące mi w czasie snu. Poczulem suchość w ustach, więc wstałem, żeby napić się wody.

Kiedy się podnosiłem, zdawało mi się, że usłyszałem przeciągłe wycie dochodzące gdzieś z zewnątrz. Zaniepokojony podszedłem do okna i odchyliłem zasłonę.

Okna kamienicy wychodziły na budynek dworca i pobliskie tory. Było ciemno, mrok nocy rozjaśniał jedynie blask księżyca, który zdołał się przebić między chmurami, i kilka ulicznych latarni. Staralem się namierzyć źródło tajemniczych dźwięków, jednak nic nie zobaczyłem.

Kiedy odchodziłem od okna, zniechęcony bezowocnymi obserwacjami, ponownie usłyszałem wycie. Rzuciłem się z powrotem. Zdawało mi się, że dostrzegłem jakąś postać przycupniętą na torowisku. Z daleka trudno było dokładnie opisać widzianą przeze mnie istotę. Najprawdopodobniej była dwunożna, o psim pysku i spiczastych uszach, odrobinę przypominała mi widzianą kiedyś w ogrodzie zoologicznym małpę pochodzącą gdzieś z odległych zakamarków Afryki.

W łapach trzymała coś, jakby kawał mięsa, szarpiąc go od czasu do czasu. Prawdopodobnie się posilała. W pewnej chwili istota odwróciła łeb i spojrzała dokładnie w miejsce, z którego ją obserwowałem.

Aż odskoczyłem przerażony, widząc łyskające w moim kierunku czerwone ślepie. Stwór rzucił się do ucieczki i tyle go widziałem.

„Cóż to mogło być?” pomyślałem, nie mogąc opanować przyspieszonego oddechu. Otworzyłem okno i wyjrzałem, mając nadzieję dostrzec tajemnicze stworzenie. Jednak musiało uciec do swojej kryjówki lub położonego po drugiej stronie torowiska lasu.

Owiał mnie chłód październikowej nocy i czym prędzej zamknąłem okno. Czułem się rozbudzony, więc zapaliłem lampkę naftową, a na stoliku zobaczyłem pergamin, który przygotowałem wieczorem.

Chwyciłem ołówek i dopóki wspomnienia były jeszcze żywe i nie zniekształciłem ich w swej pamięci, zacząłem szkicować zauważoną przeze mnie postać.

Kiedy skończyłem, już świtało. A ja nie mogłem się nadziwić, jak bardzo narysowana istota przypomina tę, którą widziałem na obrazie profesora Harveya Gardnera o tytule *Legowisko*.

Ranek w Arkham powitał mnie deszczem. Mimo że przespałem tylko połowę nocy, nie czułem zmęczenia. Wręcz przeciwnie, po wczorajszym spotkaniu z tajemniczą istotą, a następnie intensywnym szkicowaniu, czułem, jak rozpiera mnie pozytywna energia. Nie mogłem doczekać się spotkania z profesorem oraz pokazania mu swoich rysunków. A szczególnie tego, który powstał dzisiejszej nocy.

Kiedy schodziłem na dół, właścicielka pensjonatu zawołała mnie na śniadanie, które okazało się być wliczone w cenę pokoju. Pałaszując sadzone jajka z czosnkowymi grzankami i popijając kawę, rozmyślałem, czym mogło być widziane stworzenie. Może przywidziało mi się, że było dwunożne, a to po prostu jakiś wilk, dziki pies czy drapieżny kot, żyjący w okalających Arkham lasach.

Musiałem zasugerować się *Legowiskiem*. Oglądałem obraz wielokrotnie, a wizja stworzona przez profesora Gardnera od dawna siedziała mi w głowie. Przedstawił kłębowisko jakiś mitycznych bestii, splecionych w atawistycznym godowym uścisku, kopulujących ze sobą i zjadających ludzkie ciała. Przerzązał i fascynował jednocześnie.

– Smakowało? – Pytanie zadane przez właścicielkę pensjonatu wyrwało mnie z zamyślenia.

– Tak, było pyszne. – Uśmiechnąłem się i skinąłem głową. – Dziękuję.

– W razie czego za dodatkową opłatą może pan wykupić obiady. Wydawane są pomiędzy pierwszą, a trzecią po południu.

– Dzisiaj mam zamiar pozwiedzać trochę miasto. Niemniej dziękuję za propozycję. Zostanę tu pewnie jeszcze kilka dni, więc na pewno skorzystam.

– Proszę koniecznie odwiedzić kościół. Okolice rzeki są również bardzo malownicze.

– Czy słyszała pani skowyt w nocy? – zapytałem, póki nie odeszła. – Coś strasznie hałasowało w okolicy dworca.

– Tak. – Kobieta opuściła wzrok. – Wygłodniałe wilki podchodzą pod miasto. Proszę się nie przejmować. O tej porze roku to normalne. Muszę wracać do kuchni.

– Oczywiście, dziękuję. – odpowiedziałem i zacząłem się zbierać do wyjścia.

6

Kilka następnych godzin spędziłem, szwendając się po mieście. Na szczęście przestało padać, jednak dalej było pochmurno i chłodno.

Arkham o tej porze roku nie należało do najpiękniejszych miasteczek. Nie sposób jednak było nie zachwycić się kolonialnymi domami o mansardowych dachach i georgiańskim kościołem.

Przechadzając się deptakiem biegnącym wzdłuż rzeki Miskatonic, od której nazwę wziął uniwersytet, zobaczyłem grupę ludzi, żywo o czymś dyskutującą. Podeszedłem bliżej i dostrzegłem, że wśród nich znajduje się również policjant. Na piaszczystym brzegu leżało natomiast przykryte kocem ciało. „Co też mogło się stać?”, pomyślałem. Czyżby jakieś zabójstwo? Zawsze byłem ciekawy takich rzeczy. W Bostonie często rozmawiałem z pracującym w policji przyjacielem o przedziwnych przypadkach morderstw dokonywanych w mieście.

Nie chciałem być wścibski, nie wiedziałem jak miejscowi zareagowałiby na próbę wybadania, co się wydarzyło. Stałem więc na deptaku, obserwując sytuację, dopóki od grupki nie odłączył się mężczyzna w roboczym ubraniu.

– Przepraszam pana. – Zaczepiłem go, kiedy przechodził obok. – Może mi pan powiedzieć, co tam się stało? Widziałem ciało na brzegu rzeki.

Mężczyzna stanął, zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem spod krzaczastych brwi. W końcu chyba uznał, że warto się ze mną podzielić wiedzą i powiedział:

– Rano znaleźliśmy martwego Stanleya Carpentera, kiedyś pracowałem z nim w magazynach. Miał rozbity łeb, najpewniej wracał wieczorem z knajpy, zachwiał się i uderzył w kamień.

– Straszna śmierć. – Pokręciłem z przejęciem głową.

– To jeszcze nie jest najgorsze. – Mężczyzna zniżył głos do konfidenckiego szeptu. – Coś poszarpało jego ciało. Lewą rękę ma oderwaną w łokciu, wnętrzności na wierzchu. Zrzygać się można od patrzenia.

– Podobno wilki grasują w okolicy. Słyszałem w nocy ich wycie.

– Fakt, jakieś zwierzaki wydierają się od dłuższego czasu. Cholera wie, czy to wilki, czy co inne. – Mężczyzna machnął ręką. – Muszę wracać do roboty. Miłego dnia życzę.

– Dziękuję i wzajemnie.

7

Przed wizytą u profesora zajrzałem jeszcze do wynajmowanego pokoju i zabrałem rysunki. Właścicielka pensjonatu wytłumaczyła mi, jak trafić na Sentinel Street i około czwartej po południu ruszyłem w stronę domu Gardnera.

Pogoda znowu się zmieniła. Porywisty wiatr przywiał deszczowe chmury. Początkowo niewielka mżawka z każdą chwilą zmieniała się w coraz większą ulewę. Zanim w końcu dotarłem pod wskazany adres, byłem już całkowicie przemoknięty.

Profesor mieszkał w jednym z kolonialnych budynków otoczonym drewnianym ogrodzeniem. Furtka była otwarta, więc przebiegłem przez ogród, żeby jak najszybciej dotrzeć do drzwi. Na szczęście nad wejściem był niewielki, spadzisty daszek, pod którym mogłem się skryć.

Chwyciłem za misternie zdobioną, żeliwną kołatkę i zastukałem. Kiedy czekałem na pojawienie się profesora, rzuciłem okiem na ogród. Był zaniedbany, najwyraźniej nikt od dłuższego czasu go nie pielęgnował. Bezlistne drzewa chyliły się ku ziemi, grożąc upadkiem, a rozplenione chwasty zajmowały każdy skrawek wolnej przestrzeni.

Usłyszałem hałas za drzwiami, a po chwili te się otworzyły.

– Witaj, witaj, młody człowieku. – Profesor ubrany był w gustowną marynarkę i teraz wyglądał jak przystało na uniwersyteckiego wykładowcę. – Wchodź do środka, straszliwie leje.

We wnętrzu panował nieokreślony zaduch. Również czuć było farby, jak w pracowni, ale z domieszką czegoś nieokreślonego, jakby zwierzęcego.

– Widzę, że przemokłeś. – Gardner spojrzał na mnie krytycznie. – Płaszcz zostaw w przedpokoju i przejdź za mną do salonu. Rozgość się, a ja zaraz przygotuję coś na rozgrzanie.

Podziękowałem i wszedłem do dużego pokoju, w centrum którego stał sporych rozmiarów drewniany stół. Na jednej ścianie były półki z bogatym księgozbiorem, na innej nieznanym mi obraz przedstawiający polowanie. Kominiek przyjemnie ogrzewał wnętrze, więc usiadłem blisko niego, delektując się ciepłem. Sprawdziłem również torbę, na szczęście jednak przechowywane w niej rysunki nie zamokły.

Zacząłem się uważniej rozglądać po wnętrzu i nad kominkiem dostrzegłem okazałych rozmiarów jelenie poroże. „Może to od niego załatywał ten nietypowy zapach”, pomyślałem.

– Ustrzeliłem go sześć lat temu w lasach w pobliżu Dunwich. – Profesor wszedł do salonu, niosąc dwie szklanki z parującą herbatą. – Największy jakiego widziałem, ważył prawie sześćset funtów. Niestety, teraz musiałem zrezygnować z polowań.

Dopiero, kiedy podchodził do mnie, zauważyłem, że kuleje na prawą nogę.

– Dziękuję – powiedziałem, odbierając szklankę.

Napiłem się, czując przyjemnie rozgrzewające ciepło.

Profesor również usiadł, rozprostowując kontuzjowaną nogę.

– Mam szczęście, że mogę chodzić. Złamanie było poważne, potrzebna była pomoc chirurgiczna – mówił, rozmasowując kolano. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki metalową piersiówkę, odkręcił ją i dolał odrobinę bursztynowego płynu do herbaty. Następnie wyciągnął trunek w moją stronę: – Trzymaj, nalej sobie. Szybciej się rozgrzejesz. Nic nie pomaga w takie dni, jak gorąca herbata z whiskey.

Podziękowałem grzecznie i dolałem sobie odrobinę.

– Pokaż, z czym przychodzisz. – Gardner przerwał przedłużającą się ciszę, podczas której starałem się dobrać odpowiednie słowa, aby rozpocząć rozmowę. – W pracowni wspominałeś, że malujesz?

– Tak. – Sięgnąłem po torbę i wyjąłem rysunki. Podałem mu kilka z nich, a ten narysowany wczorajszej nocy na razie trzymałem w ręku.

– Hmm. Całkiem niezłe, choć niektóre linie są trochę toporne. – Profesor niespiesznie przeglądał moje prace. – Przydałoby ci się więcej teorii, jak wykorzystywać światłocienie oraz kontrasty. Popelniasz sporo technicznych błędów, ale masz jeszcze czas, żeby je wyplenić. Niewątpliwie dostrzegam w tobie talent. Niemniej wymagający oszlifowania.

– Dziękuję. – Opuściłem głowę, czując pojawiający się na twarzy rumieniec. Nie wiedziałem czy to działanie wzmocnionej alkoholem herbaty, czy reakcja na komplement.

– Jak długo zostajesz w mieście? – spytał profesor. – Jeśli chcesz, mogę dać ci parę lekcji oraz udzielić rad. Wydajesz się pokornym i otwartym na naukę mężczyzną.

– Bardzo chętnie, jeśli tylko profesor znajdzie czas. – Zgodziłem się ochoczo. – Nie spieszo mi wracać do Bostonu. Ojciec wspiera mnie w mojej pasji, więc mogę przebywać w Arkham nawet przez kilka tygodni.

– To świetnie się składa. Teraz zaczął się nowy semestr na uniwersytecie, jednak wieczorami powinienem znaleźć czas dla ciebie.

– Dziękuję. Będę bardzo wdzięczny.

– Widzę, że masz jeszcze jeden rysunek. – Profesor wskazał na trzymany przeze mnie papier. – Czyżby jakieś niedokończone dzieło?

– Nie. Wczorajszej nocy obudził mnie przeraźliwy skowyt i zobaczyłem coś dziwnego za oknem. Starłem się oddać kształt tej istoty i sam nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Pokaż. Ocenimy cóż to takiego.

Podąłem profesorowi rysunek. Ten przyjrzał mu się, nie zdradzając żadnych emocji.

– Zaspany umysł potrafi płać figle – powiedział w końcu, oddając mi kartkę. – Najpewniej coś ci się przywidziało, a na papier starałeś się przelać senne majaki. Widać, że rysowane pospiesznie i pod wpływem emocji. Do tego dostrzegam duże podobieństwo do postaci, które stworzyłem w *Legowisku*. Widzę, synu, że ten obraz nie chce wyjść ci z głowy.

– Owszem, bardzo go lubię. Jest drapieżny i fascynujący. – Dokończyłem herbatę, czując ciepło rozlewające się po żołądku. – Podobno to wilki podchodzą pod miasto w poszukiwaniu jada. Zagryzły nawet człowieka nad rzeką.

– Doprawdy? – zdziwił się Gardner. – Nic o tym nie słyszałem.

– Zwiedzałem miasto i natknąłem się na zbiorowisko przy zwłokach. To jakiś robotnik nazwiskiem Carpenter.

– Stanley Carpenter!?! – nieomal krzyknął profesor.

– Chyba tak właśnie się nazywał.

– Szlag, znałem go. Kiedyś zajmował się moim ogrodem, ale potem znalazł lepiej płatną pracę w którymś z nadrzecznych magazynów. Dobry chłop, choć miał trochę zbyt wielki pociąg do butelki. Nakryłem go kiedyś dobierającego się do moich zapasów whiskey w piwnicy.

Porozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas, jednak zrobiło się późno i postanowiłem zbierać się do wyjścia. Umówiliśmy się następnego dnia, że wpadnę do pracowni profesora na uniwersytecie, gdzie przygotowuje on dla mnie trochę książek traktujących o malarstwie.

Uśmiechnąłem się i podziękowałem za herbatę. Kiedy Gardner otworzył drzwi wejściowe, na dworze panował już mrok. Na szczęście przestało padać, więc nie musiałem się obawiać, że zmoknę w drodze na stację.

8

Kiedy następnego dnia udałem się do pracowni profesora, nie miał czasu ze mną rozmawiać, ponieważ właśnie prowadził zajęcia z kilkunastoosobową grupą studentów. Przez jakiś czas stałem i słuchałem wykładu, a po nim podszedł do mnie Gardner, wręczył wypełnioną księgami oraz czasopismami paczkę i powiedział, żebym zajrzał do niego, kiedy się z nimi zapoznam.

Jak tylko wróciłem do wynajmowanego pokoju zająłem się wertowaniem otrzymanych książek. W większości były to czysto teoretyczne traktaty o wykorzystaniu natężenia barw i światłocieni. Opisy różnych technik malarskich powstających na przestrzeni wieków. Ciekawym wydał mi się artykuł o wykorzystaniu wynalazku fotografii w nowożytnym malarstwie.

Czekała mnie długa i wyczerpująca lektura.

Kilka następnych dni spędziłem w pokoju, pogłębiając swoją wiedzę na temat teorii malarstwa, schodząc tylko na posiłki. Wykupiłem również polecane przez właścicielkę obiady i nie żałowałem tej decyzji. Serwowane przez nią żeberka, łosoś czy placek brzoskwinowy na długo pozostaną w mojej pamięci. Choć przyznam, że te uczyły dla podniebienia miały swoją cenę, która prawie dorównywała większości restauracji w Bostonie.

Wieczorami, w ramach odskoczni od czytania, próbowałem coś rysować, jednak wszystkie pomysły porzucałem już po kilku pierwszych szkicach. Nie mogłem znaleźć natchnienia, przed oczami wciąż stawała mi widziana pierwszej nocy w Arkham postać. Jednak kolejne próby jej dokładnego odwzorowania nie przynosiły oczekiwanego rezultatu. Często nocami spoglądałem w stronę dworca, mając nadzieję ujrzeć tę

przedziwną istotę, jednak nic nie dostrzegałem. Zaczynałem wierzyć, że było to tylko wywołane sennością przywidzenie.

9

Podczas kolejnych kilku wieczorów odwiedzałem profesora i rozmawialiśmy głównie o tym, czego dowiedziałem się z przeczytanych książek. Gardner zadawał mi pytania, na które starałem się odpowiadać jak najbardziej wyczerpująco. Widać było, że jest zadowolony z poczynionych przeze mnie postępów. Ożywił się zwłaszcza, kiedy wspomniałem o wynalazku fotografii.

– Tak. Fotografia co prawda jest dopiero w powijakach, ale ma potencjał, aby stać się prawdziwą sztuką jak rzeźbiarstwo, czy uwielbiane przez nas malarstwo. Upłynie sporo czasu zanim się rozwinie, ale już teraz widać, jak wspaniały to wynalazek. Słyszałem również o pierwszych próbach łączenia fotografii i tworzeniu ruchomych obrazów. W badaniu tego studium ruchu przoduje niejaki Edward Muybridge. Ponoć ma w tym już jakieś sukcesy i urządza pokazy dla publiczności.

– Muszę napisać list do ojca. – Pomysł ruchomych obrazów również wydał mi się interesujący. – Jeśli w Bostonie będzie się odbywać taka wystawa, na pewno mnie poinformuje. Moglibyśmy się wybrać.

– Praca na uczelni absorbuje większość mojego czasu, ale na coś takiego powinienem znaleźć wolną chwilę.

– Postaram się czegoś dowiedzieć. – Uśmiechnąłem się i spojrzałem na stojący na biurku zegar. – Późno już, będę się zbierał. Jutro o tej samej porze?

– Oczywiście, Richardzie. – Profesor podniósł się z bolesnym stęknieniem, trzymając się za kolano. – Omówimy zagadnienie naturalizmu. Wypada on bardzo ciekawie w połączeniu ze wspomnianą dzisiaj fotografią.

– W takim razie do zobaczenia jutro. Dobranoc.

– Dobranoc, Richardzie.

Drzwi zamknęły się z cichym skrzypnięciem, a ja wyszedłem w mrok jesiennej nocy, rozjaśniane jedynie mdłym światłem ulicznych latarni. Było chłodno, wilgotno i mgliście, więc szczerzej okryłem się płaszczem, postawiłem kołnierz i szybkim krokiem ruszyłem w stronę pensjonatu. Na ulicach było pusto, o tej porze Arkham wyglądało jak wyludnione. Z tego co słyszałem nocne życie, które tak tętniło w Bostonie, tutaj ograniczało się do kilku otwartych nadrzecznych tawern, w których przesiadywali miejscowi robotnicy.

Idąc, rozmyślałem o nowej metodzie utrwalania obrazu. Fotografia z czasem mogła wyprzeć tradycyjne malarstwo. Kiedyś widziałem wystawę krajobrazowych zdjęć wykonanych przez jakiegoś angielskiego podróżnika.

Byłem już w okolicach dworca, kiedy usłyszałem niepokojący hałas dochodzący z oddali. Nie mogłem dokładnie określić, co to za dźwięk. Stłumione warczenie przybierało na sile z każdym kolejnym krokiem. Odrobinę się przestraszyłem i jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Czyżby wilki znowu zbliżyły się do miasta? A może po prostu jakieś zwierzę buszuje w pobliżu dworcowych zabudowań?

Wiedziony ciekawością postanowiłem sprawdzić, co jest źródłem tajemniczych odgłosów. Zbliżałem się powoli, nasłuchując uważnie. Hałas dochodził z za jednego z niewielkich magazynów, położonego wzdłuż linii kolejowej. Starłem się stąpać jak najciszej, aby nie spłoszyć zwierzęcia. Teraz miałem pewność, że to zwierzę. Warczenie i mlaskanie było coraz głośniejsze.

Ostrożnie wyjrzałem zza ściany budynku i zmartwiałem. Jednak istota, którą widziałem pierwszej nocy, nie była przywidzeniem. Pochylała się teraz nad ludzkimi, najprawdopodobniej męskimi zwłokami, rozszarpując je masywną szczęką, pełną ostrych zębów. Stwór był wielkości dorosłego człowieka, pokryty krótką szczecina, o masywnej budowie ciała. Monstrum wyrwało kawał mięsa, połykając go w kilku kęsach, a krew spływała mu z pyska, lśniąc szkarłatem.

Patrzyłem jak skamieniały, nie wiedząc, co czynić. Nogi miałem jak z waty, a w klatce piersiowej łomotało mi serce. Z trudem przełknąłem ślinę przez ściśnięte gardło. Strach mnie sparaliżował, odbierając na chwilę zdolność reakcji. Zakręciło mi się w głowie, ręką

próbowałem przytrzymać się ściany magazynu. Dłoń jednak omsknęła mi się i straciłem równowagę, prawie się przewracając.

Bestia natychmiast mnie dostrzegła. Podniosła podłużny psi pysk, bursztynowe oczy zabłyśły w ciemności. Nocną ciszę przerwał złowieszczy skowyt.

Rzuciłem się do panicznej ucieczki. Gnałem przed siebie, co sił w nogach, popędzany strachem. Za plecami słyszałem zatrważający, mrozący krew w żyłach ryk. Bałem się nawet na sekundę zwolnić i spojrzeć za siebie, wiedząc, że kolejne spojrzenie w oczy tego piekielnego monstrum może być ostatnim widokiem, jaki ujrzę w swoim życiu. Na szczęście pensjonat był blisko, a kiedy dopadłem do drzwi, te były otwarte. Wparowałem do środka, zatraskując je za sobą i zamykając zasuwę. Pognałem na górę do swojego pokoju i podbiegłem do okna.

Po bestii nie było najmniejszego śladu. Widocznie postanowiła mnie nie gonić, zadowolając się upolowaną wcześniej ofiarą. Przypominając sobie jej masywne kończyny, zrozumiałem, że gdyby monstrum nie odpuściło, nie miałbym najmniejszych szans ucieczki. Gdzieś z oddali ponownie usłyszałem jej wycie. Zasłoniłem zasłony, zrzuciłem z siebie płaszcz i usiadłem na łóżku. Byłem roztrzęsiony, z trudem łapałem powietrze, czułem ból w gardle, a także w mięśniach po intensywnym biegu. Wziąłem kilka głębokich wdechów, starając się uspokoić.

Ten nocy nie zmrzyłem oka.

10

– Strasznie jesteś blady, chłopcze. – Właścicielka pensjonatu przyglądała mi się ze współczuciem. Rano, choć nie byłem głodny, zszedłem na śniadanie. W głowie wciąż siedziało mi wczorajsze spotkanie z tajemniczym monstrum. Nie wiedziałem, czy mam kogoś o tym poinformować, czy zachować to dla siebie. Byłem apatyczny i bolała mnie głowa.

– Nie mogłem spać – odpowiedziałem słabym głosem. – Znowu coś hałasowało w okolicy dworca.

– Przeklęte wilki. – Kobieta uśmiechnęła się, chcąc podtrzymać mnie na duchu. – Dopadły w nocy starego Erniego. Był pijakiem, ale nieszkodliwym i robotnym. Najwyższy czas zrobić z nimi porządek. Mąż i kilku innych mieszkańców ma rozmawiać dzisiaj z burmistrzem i szeryfem. To już czwarta osoba zagryziona w ciągu ostatniego miesiąca. Niedługo strach będzie wyjść z domu.

– Bezpieczeństwo jest najważniejsze. Również uważam, że należy jak najszybciej rozwiązać ten problem. Zorganizować polowanie czy jakiś odstrzał. – Postanowiłem nie wspominać o mojej nocnej przygodzie. Kobieta mogłaby wziąć mnie za niespełna rozumu. Zresztą sam do końca nie wierzyłem w to, co widziałem.

– Jajecznicą z boczkiem postawi cię na nogi. Zaraz przyniosę.

– Dziękuję – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się wymuszenie.

Rzeczywiście śniadanie było pożywne i poczułem się odrobinę lepiej. Po nieprzespanej nocy ogarnęła mnie senność. Wróciłem do pokoju. Postanowiłem trochę się przespać, a po południu udać się do profesora i porozmawiać z nim na temat wydarzeń wczorajszej nocy. Wydawał mi się jedyną osobą, której mogłem o tym opowiedzieć.

11

Znowu padało.

Ulice Arkham zmieniły się w błotnistą breję, pełną kałuż, przez którą ciężko było, przejść nie mocząc sobie butów i nogawek spodni. Od czasu ostatniej przygody zacząłem nosić ze sobą nóż. Wątpiłem, żeby pomógł mi w ewentualnym starciu z nocnym drapieżnikiem, ale mając go w kieszeni, czułem się odrobinę pewniej. Żałowałem, że nie przywoziłem z Bostonu rewolweru, choć ojciec namawiał mnie do tego. Nie sądziłem

jednak, że może być mi do czegoś potrzebny i teraz leżał zamknięty w szufladzie mojego biurka.

Wdepnąłem w kałużę, a lodowata woda wylała mi się do buta. Zakląłem i przyspieszyłem kroku, na szczęście byłem już blisko posiadłości Gardnera.

Profesor już na mnie czekał. Kiedy tylko znalazłem się we wnętrzu jego domu, uraczył mnie rozgrzewającą herbatą z whiskey. „To chyba ulubiony napój mieszkańców Arkham”, zaśmiałem się w myślach. Przy tak parszywej pogodzie można wpaść w alkoholizm.

– Słabo wyglądasz – rzekł profesor, siadając ze stęknieniem w fotelu. – Jesteś chory?

– Nie – odparłem. – Wczorajszej nocy wydarzyło się coś dziwnego.

Delektując się herbatą, opowiedziałem Gardnerowi o spotkaniu z tajemniczą istotą. Starąłem się jak najdokładniej opisać to, co mi się przydarzyło, a także podać zapamiętane szczegóły anatomiczne dziwnego zwierzęcia.

Profesor słuchał ze zmartwioną miną, kiwając głową. Nie przerywał mi, ani nie zadawał pytań. Kiedy skończyłem opowieść, wciąż milczał, jakby bił się z myślami.

– Co pan o tym sądzi? – zapytałem skrzepowany przedłużającą się ciszą. – Cóż to mogło być za dziwo?

– To ghoul – powiedział w końcu. Wstał i kuśtykając przeszedł kilka kroków w stronę wyjścia z salonu. Odwrócił się i gestem nakazał mi, abym poszedł za nim. – Ja też muszę ci coś opowiedzieć i pokazać. Pamiętaj jednak, że nie możesz nikomu tego powtórzyć. Rozumiesz?

Zdziwiony kiwnąłem głową i również wstałem. „Czyżby profesor wiedział, czym jest owe stworzenie”, myślałem gorączkowo. Ghoul, ta nazwa kołatała mi się w głowie, nie mogłem jednak skojarzyć, gdzie już ją słyszałem.

– Poczekaj tu chwilę. – Gardner wyszedł do innego pomieszczenia. Kiedy wrócił, podpierał się zdobioną, dębową laską. Grymas bólu na jego twarzy świadczył, że pogoda daje się we znaki jego kontuzjowanemu kolanu. Drgnąłem nieznacznie, kiedy ujrzałem, że

za paskiem miał wetknięty rewolwer. Podał mi zapaloną lampę naftową, a sam sięgnął po zawieszony na szyi klucz i stanął przed drzwiami piwnicy.

– Jesteś gotowy? – spytał.

– Chyba tak – odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem. W głowie czułem lekkie zawroty, nie miałem pojęcia, czy były spowodowane niecodzienną sytuacją, czy zadziałała wypita wraz z herbatą whiskey.

Profesor otworzył drzwi, odebrał mi lampę i ruszył schodami w dół. Stałem, wahając się przez chwilę. Gardner odwrócił się, zmarszczył brwi i skinął na mnie.

– Chodź, nie bój się. Rewolwer wziąłem na wszelki wypadek, nigdy nie był mi tak naprawdę potrzebny.

Powoli poszedłem za nim. W piwnicy czuć było zwierzęcy zapach futra i odchodów.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o wypadku na polowaniu? – Głos profesora oraz migotliwy blask lampy odpędził podskórny strach. – Koń zrzucił mnie, złamałem nogę, a także poważnie uszkodziłem kolano. Zwierzę uciekło, a ja zostałem w lesie, nie mogąc praktycznie się poruszać. Wołałem o pomoc, jednak reszta uczestników polowania musiała być gdzieś daleko. Zacząłem się czołgać, starając się znaleźć ratunek. Poraniłem rękę, noga krwawiła, a wystająca kość krępowała ruchy. Założyłem sobie prowizoryczny opatrunek i pełzłem dalej. I wtedy usłyszałem cichy skowyt. Dochodził z niewielkiego zagłębienia. Kiedy w końcu się tam doczołgałem, ujrzałem to.

Profesor zszedł ze schodów i oświetlił pomieszczenie. Pod ścianą w niedużej klatce zamknięte były dwa stworzenia. Na widok światła zaczęły przeraźliwie skamleć i kryć się po kątach.

– Było tam legowisko pełne szczeniaków. Początkowo myślałem, że to wilki, jednak okazały się czymś innym. Miały bardziej muskularne tylne kończyny, umożliwiające chodzenie na dwóch nogach. Najwyraźniej samica zginęła lub zostawiła je na pastwę losu. Kiedy usłyszałem nawoływania pozostałych myśliwych, mozolnie oddaliłem się od tego miejsca, starając się jednak dokładnie zapamiętać jego położenie. Wróciłem tam kilka dni

później, jak tylko lekarz poskładał mi nogę i mogłem w miarę normalnie funkcjonować. Zabrałem wyczerpane i wygłodniałe stworzenia i zaopiekowałem się nimi.

– To tamte zwierzaki? – spytałem, z niedowierzaniem kręcąc głową. Wszak od wypadku musiało minąć sporo czasu, skoro kości Gardnera dawno się już zrosły.

Profesor uśmiechnął się.

– Gratuluję spostrzegawczości. Ten sam gatunek, lecz nie te same okazy.

Podszedłem do klatki. Szczeniaki kulily się i skamlały, najwyraźniej przestraszone widokiem ludzi i oślepiającym je światłem. Wyglądały zupełnie jak widziany przeze mnie wczorajszej nocy stwór. Były po prostu dużo mniejsze, pewnie miały dopiero kilka tygodni. Pomyślałem, że takie dziwaczne i niespotykane zwierzęta warto by umieścić na obrazie. Wcale nie dziwiłem się profesorowi, że namalował *Legowisko*, zafascynowany innością bestii. Było w nich coś elektryzującego i pobudzającego, w końcu to odkrycie nowego gatunku. Kiedy obserwowałem, jak rzucają się w klatce, pomyślałem jak fantastycznie byłoby móc je uwiecznić na ruchomych obrazkach. O tak, stanowiłyby idealne modele do fotografowania.

– Umieściłem je w piwnicy i zacząłem karmić. W międzyczasie, nie mogąc wyrzucić z głowy tego widoku, namalowałem *Legowisko*. Obraz, który tak bardzo przypadł ci do gustu. Teraz już wiesz, co było jego bezpośrednią inspiracją. Staralem się dowiedzieć, czym są owe stworzenia. Po jakimś czasie natknąłem się na wzmiankę o podobnych stworach w *Necronomiconie* autorstwa szalonego Araba Abdula Alhazreda.

Dopiero teraz dotarło do mnie, gdzie widziałem monstra. Były przedstawione na jednej z rycin *Necronomiconu*, którego egzemplarz był w posiadaniu mojej rodziny.

– I dowiedziałem się, że to ghoule. Mityczne stwory, które okazały się istnieć naprawdę. Kilka z nich zdechło, lecz pozostałe rosły i robiły się coraz większe. Po czasie musiałem zamówić większe klatki. Zaczęły się mnożyć i teraz jest ich dwanaście. Nie licząc tych szczeniaków, na które właśnie patrzysz.

– To niesamowite. – Odchrząknąłem, czując suchość w gardle. – Nie bał się pan, że coś panu zrobią?

– Owszem. – Profesor zaśmiał się gardłowo. – Właśnie dlatego mam ze sobą rewolwer. Chociaż wydaje mi się, że te zwierzęta czują ze mną swoistą więź. Wiedzą, że jestem ich żywicielem i dają im schronienie. Nie licząc sporadycznych incydentów, nie przejawiały wobec mnie agresji.

– Jednak przejawiały wobec innych – powiedziałem, przypominając sobie dwie niedawne ofiary bestii i spojrzałem hardo na profesora. – Musiał pan słyszeć, że w Arkham zaczęli ginąć ludzie.

Profesor nic nie odpowiedział i zaczął schodzić po kolejnych schodach. Piwnica okazała się być głębsza niż przypuszczałem. Zaintrygowany ruszyłem za nim, choć czułem, że drżą mi dłonie. Jak ten człowiek mógł tu mieszkać, trzymając obok siebie te przeraźliwe monstra?

Pomieszczenie, do którego zeszliśmy, było spore. Pełne drewnianych skrzyń różnych gatunków whiskey, najpewniej kolekcja, którą uszczuplił zabity niedawno przez ghoule Stanley Carpenter. Podłoga wyściełana była słomą, a w powietrzu unosił się smród świeżych i zaschniętych już odchodów. Ujrzałem kilka klatek, a uwięzione w nich ghoule spojrzały na mnie swymi bursztynowymi oczami. Ich psie pyski lśniły od kłów, pod cienkim futrem drgały mięśnie. Stałem na jednym ze schodków, walcząc z obezwładniającym strachem.

– Najtrudniej było zdobyć jedzenie. Im są większe, tym więcej mięsa potrzebują. Dlatego co jakiś czas wypuszczam je na polowania. Nie mogę tylko rozgryźć, dlaczego przeważnie atakują pijaków. Może wabi je zapach alkoholu.

Głos profesora zdawał się docierać do mnie jak zza ściany. Ponownie rozejrzałem się po wnętrzu i dostrzegłem, że jedna z klatek jest otwarta, a w jej wnętrzu nie ma ghoula. Gardner chyba też to zobaczył, bo sięgnął po rewolwer.

– Chyba jeszcze nie wrócił z polowania. Zwykle po powrocie sam wchodzi do klatki i odsypia w legowisku trudy samodzielnego zdobywania pokarmu. To najstarszy samiec, ostatnio stał się odrobinę agresywny.

Niespodziewanie jakiś kształt wyskoczył z ciemności i runął na profesora. Zwarci w morderczym uścisku przewrócili się na jedną z wypełnionych whiskey skrzyń. Butelki

peki z trzaskiem, a w powietrzu uniosła się woń alkoholu. Trzymana przez mężczyznę lampa naftowa uderzyła o ścianę i stłukła się. Wysłane słomą podłoże błyskawicznie zajęło się ogniem. Cofnąłem się na schody.

Widziałem dwa mocujące się kształty, krzyk profesora, a także gardłowy skowyt ghoulu. Chciałem ruszyć Gardnerowi na pomoc, jednak płomienie były coraz większe, a buchający żar palił mi skórę.

– Profesorze! – krzyknąłem z przerażeniem, jednak usłyszałem tylko odgłosy szamotaniny, a także stłumiony wystrzał i wycie uwięzionych w klatkach ghoulu.

Nie czekając dłużej, rzuciłem się do ucieczki.

12

Pospiesznie zebrałem swoje rzeczy i wsiadłem w najbliższy pociąg do Bostonu. Na szczęście odjeżdżał jeszcze tego samego wieczoru. Ciągle byłem przerażony i roztrzęsiony tym co się stało. Przy wyjeździe zdążyłem się dowiedzieć, że pożar strawił całą posiadłość profesora Gardnera.

W pociągu odrobinę zeszło ze mnie napięcie i zapadłem w krótką drzemkę, przerwana jednak przez wejście konduktora.

Mężczyzna poprosił o bilet, a po okazaniu spojrzał na mnie podejrzliwie i spytał:

– Ma pan jakiś bagaż?

– Tylko podręczny. Torbę z ubraniami i teczkę.

– A to też jest pańskie? – Wskazał na stojący na podłodze prostokątny kształt przykryty kocem.

– Tak. – Odchyliłem odrobinę materiał i powiedziałem: – To parka wilczurów z hodowli w Arkham. Dla mojej matki.

Konduktor wyszedł, więc pochyliłem się i spojrzałem na zamknięte w klatce szczeniaki ghouli. Te zaskamlały i uspokoiły się dopiero kiedy rzuciłem im kawałek kiełbasy, który zabrałem ze sobą na drogę.

Nakryłem je kocem i ponownie zapadłem w drzemkę. Nie mogłem się już doczekać, kiedy wrócę do Bostonu i będę mógł sfotografować te niesamowite stworzenia.

Artur Grzelak